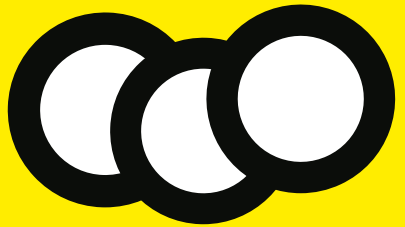
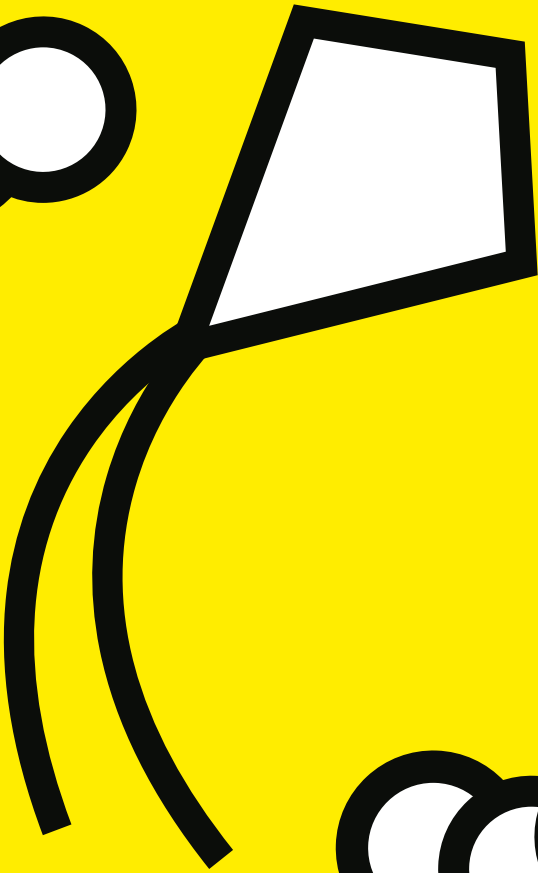
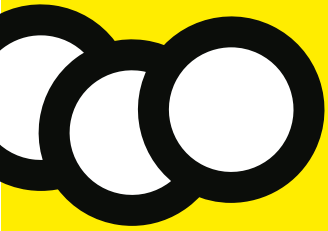
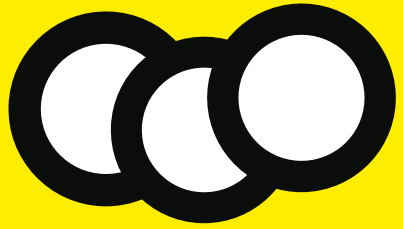


Oleh Sencow  
Marketer



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!



*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na  
[www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

Wschodni Express  
Seria wydawnicza

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

Ołeh Sencow

# *Marketer*

Przełożył Bohdan Zadura

Warsztaty Kultury

Lublin 2022



## *Egzamin*

Bardzo chciał dostać się właśnie na te studia. Najbardziej na świecie. Niczego przedtem tak nie chciał. Już dawno postanowił, że zostanie ekonomistą, pewnie po tym, jak przeczytał kilka książek o biznesie, giełdzie i innych mechanizmach gospodarki rynkowej. W jaki sposób te publikacje trafiły do rąk wiejskiego chłopca, było niejasne, ale jakoś się z nimi zetknął. Za oknami w najlepsze kipiała już przebudowa późnego Związku Radzieckiego, w powietrzu pachniało zmianami – i on to czuł. Mało przejmował się materialną stroną tej sprawy, bardziej pociągał go sam proces. Zarabianie pieniędzy – to jest ciekawe. Ale biznes jest jeszcze ciekawszy. Nie miał ochoty zajmować się niczym innym. Wszystkie standardowe dziecięce marzenia wyparł jeden przedmiot – ekonomia. Teorii uczył się z tej nielicznej literatury, jaką udało mu się zdobyć, z planszowych gier typu Monopoly i z amerykańskich filmów wideo. Praktykę odbywał na targu, razem z rodzicami, którzy handlowali tam czasami w dni wolne od pracy: to owocami, to warzywami, a to wyhodowanymi w szklarni kwiatami. Czasy stawały się trudne i rodzina musiała jakoś zarabiać pieniądze, więc handel przestał uchodzić za coś wstydliwego. Państwo już niezbyt opiekowało się swoimi obywatelami – zarówno ich majątkiem, jak i pilnowaniem, żeby nie dorabiali. Pozwalano trochę głębiej odetchnąć, popuszczono cugli, ale oddychać trzeba było samodzielnie. Lubił liczyć pieniądze. I to nie dlatego, że można było za nie coś kupić – to była zazwyczaj nienaruszalna rodzinna kasa – po prostu sprawiało mu przyjemność przeliczanie i układanie banknotów w paczce. Ale miał też, a dokładniej, zbierał swoje własne pieniądze – w puszcze. W puszcze po brazylijskiej kawie. W jej pokrywce wyciął szczelinę, przez którą w ciągu tygodnia wrzucał zarobione albo zaoszczędzone monety, a któregoś wieczora w weekend można było tę pokrywkę

zdjąć i przeliczyć zawartość stosikami. Nie myślał o tym, co może za nie kupić – podobał mu się sam proces układania i liczenia. Widział coś takiego w kinie, tam monety były srebrne czy nawet złote, ale to go nie obchodziło. Kaczątko bawiło się w wujka Sknerusa McKwacza.

Dobrze pamiętał wyraz twarzy wicedyrektora swojej szkoły, który pewnego razu w autobusie zadał dwunastoletniemu chłopcu standardowe pytanie dorosłego do dziecka: „Kim chcesz być, jak dorośniesz?”. „Ekonomistą” – odpowiedział bez namysłu. Dorosły trochę się zdziwił, jednak pokiwał z zadowoleniem, być może pomyślawszy „roztropny chłopiec”. „Chcesz pracować w gospodarce planowej?” – teraz zapytał z aprobatą. „Nie, myślę, że do tego czasu u nas już będzie rynkowa” – odrzekł chłopaczyna. Wicedyrektor nie miał wtedy wątpliwości, że dziecko wiozą na wizytę u psychiatry. Możliwe, że potem stary nauczyciel jeszcze nieraz przypominał sobie tego chłopczyka, kiedy wielki przerdzewiały radziecki autobus, trzęsąc nimi jeszcze przez kilka lat, ostatecznie zatrzymał się i rozpadł na półtora dziesiątka zapasowych części – państw, kiepsko funkcjonujących oddzielnie. Podarowawszy im przy tym wolność, i to nie tylko ekonomiczną. Od tamtego czasu chłopiec więcej nie spotykał tego nauczyciela, ich drogi się rozeszły. Wtedy nie potrzebował nauczycieli i tym bardziej – ich przestarzałych rad. Wolał uczyć się sam.

Tymczasem chaotyczny biznes zawładnął krajem. Dziko i na lewo, ale ludzie zaczęli robić pieniądze. On mieszkał na wsi, uczył się w szkole i zgrzytał zębami nad własną bezsilnością. Też chciał zarabiać. Sądził wtedy, że to jest najciekawsze zajęcie na ziemi. Jednak jego wiek i możliwości nie pozwalały mu zabrać się z tym wielkim nurtem. Robił wszystko, co mógł w tej sytuacji.

Trochę handlował w szkole – a to gumą do żucia wśród kolegów z klasy, to fotografiami, które sam robił. Oszacowywał



koszty produkcji, procent zysku i uczył się na takich mikroskopijnych przykładach. To była drobna praktyka, a w jego głowie rodziły się i dojrzewały o wiele poważniejsze projekty. Gdy miał czternaście lat, przyszedł mu do głowy pomysł zorganizowania parku rozrywki na terenie leśnym, niedaleko od jego wsi. Pół roku rozpracowywał ten projekt, w głowie i na papierze. Oczywiście, zdawał sobie sprawę, że nie był w stanie dokładnie do końca go policzyć. To, że nie było szans, by znaleźć dla niego finansowanie i wcielić w życie, też rozumiał. Jednak dalej go wymyślał, karmiąc swoją miłość własną i rozwijając wyobraźnię. W końcu zrozumiał, że tego wozu nie pociągnie. Nie teraz. Rodzinny park rozrywki, zoo i wesołe miasteczko wylądowały w tym samym koszyku na półce z niezrealizowanymi projektami. Jednak nie chciał zajmować się pustymi marzeniami, chciał zrobić coś rzeczywistego. Starszy o pół roku, sprowadził swoją ideę do czegoś praktyczniejszego – przydrożnej kawiarni. Zabrał się za to już bardziej wnikliwie i skrupulatnie, więc nie wątpił, że temu na pewno już podoba. Nie było w tym nic trudnego: łączy się dwa baraki albo dwa stare trolejbusy, jeden przystosowuje się na kuchnię, drugi – na niewielką salkę, letni ogródek, parking, firmowe namioty i ubrania dla obsługi. Widział coś takiego w zagranicznych filmach, które teraz masowo krążyły po salonach wideo. Nawet znalazł wspaniałe miejsce przy najbliższej trasie, w pobliżu dużego skrzyżowania. Jak dotąd przy tej drodze sprzedawał tylko jabłka z drewnianej skrzynki. Ale to nie był szczyt jego możliwości. Nawet nie uważał tego handlu owocami za początek – u niego wszystko było OK, nie tylko idee, ale i ambicje. Chciał zacząć własny biznes. To było już coś. To można było zrealizować. Potrzebował tylko pieniędzy. Ale pieniędzy nie miał i nie miał ich skąd wziąć. Nikt nie traktował jego pomysłu poważnie. Pragnienie i rozpacz to były dwa potoki, które szumiały w nim jednocześnie. Nawet zaczął rozpracowywać system

gry w Totolotka, żeby tam wygrać swój początkowy kapitał, ale porzucił tę próbę – zrozumiał, że ta loteria nijak ma się do biznesu, jeśli oczywiście sam jej nie organizujesz. Po pół roku, kiedy wszystko, jak myślał, zależało wyłącznie od kapitału początkowego, obejrzał program telewizyjny. Nie ekonomiczny, a teleturniej „Co? Gdzie? Kiedy?”. Jednak pytanie, jakie w nim padło, było jakby specjalnie dla niego. To nie było pytanie w kopercie, na które wskazał ślepy los, to pytanie zostało zadane poza grą. Postawił je prowadzący głównemu sponsorowi quizu telewizyjnego – młodemu biznesmenowi, którego owe „szybkie” czasy zdążyły już wydać. Ten w audycji na żywo szastał na wszystkie strony pieniędzmi i uśmiechami, i prowadzący, nie wytrzymał, wyraził to, co nurtowało wielu: „Proszę powiedzieć, co trzeba mieć, żeby osiągnąć taki sukces: wykształcenie, powiązania, pomysł, kapitał początkowy?”. Biznesmen uśmiechnął się swym hollywoodzkim uśmiechem i odpowiedział: „Pragnienie. Trzeba mieć tylko swoje własne pragnienie, ale na tyle silne, by pokonało wszystko”. Prowadzący uśmiechnął się wtedy i powiedział, że biznesmen kpi. Chłopiec w dalekiej wsi zamarł w tym momencie przed ekranem telewizora i też nie uwierzył facetowi w malinowej marynarce. Znał już na pamięć menu swojej kawiarni i właśnie zamykał oczy, gdy klienci zaczęli parkować przy jej wejściu – jednak nie wiedział, jak wcielić to wszystko w życie. Przepis na sukces z telewizora go nie przekonywał, uważał, że gość w marynarce coś ważnego jednak przemilcza. Ten biznesmen, nawiasem mówiąc, po kilku latach zbankrutował – z takim samym hukiem, jak wcześniej się wybił. Ale to w żaden sposób tej jego recepty na sukces nie podważało. To jest biznes, i zawsze będą w nim ci, którzy przegrają. Chłopczyk jednak nie otworzył swojej kawiarni – ani wtedy, ani później. I kiedy po pięciu latach w tym miejscu, które on tak pieścił w swoich marzeniach, pojawiła się jakaś brudna mordownia, nawet

nie ścisnęło go w gardle. Zazdrość nie była cechą jego charakteru. Przeciwnie, ucieszył się z cudzego sukcesu. Nawet kiedy później ta przyczepa urosła do pełnoprawnej stacjonarnej kawiarni, nie obrażał się na ludzi, którzy zrealizowali jego pomysł. Już wiedział, że niezrealizowany zamiar nie jest nic warty. Poza tym już miał nowe, ciekawsze. Niektóre z nich potem udało mu się zrealizować, niektórych nie. Przeżywszy pół życia i zacząwszy coś w nim już kumać, przestał mieć wątpliwości, czy gość w telewizji miał rację: pragnienie naprawdę jest najważniejsze. Reszta przyjdzie wtedy, kiedy naprawdę bardzo mocno tego chcesz. Ale do tego czasu już się trochę uspokoił. Nie, nie uważał siebie za nieudacznika, po prostu pieniądze przestały być dla niego jedyną miarą sukcesu.

Wszystko to wydarzyło się znacznie później, a tymczasem uczył się w ostatniej klasie szkoły i nadszedł czas, by wybrać uczelnię. I wybrał. Najbardziej prestiżową ekonomiczną w regionie. Miała dumny status narodowej – jako najważniejszej w nowo stworzonym kraju, jednak naprawdę tylko usunęła z dawnej nazwy „gospodarkę planową”. Ta szkoła wyższa i teraz jest jedną z najlepszych, ale w tamtym czasie, na początku lat dziewięćdziesiątych, była także niesamowicie modna, szczególnie w tym prowincjonalnym mieście, w którym otworzono jej filię. Postanowił wstąpić właśnie tam, nie chciał rozmieniać się na drobne. Wszyscy mu odradzali. Mama, która od argumentów przechodziła do wizji, potem do łez, a następnie – znowu do argumentów, i tak wkoło, nauczyciele, krewni i inni ludzie, którzy wiedzieli, jakie naprawdę to życie jest. Przed nim ten szczyt próbowało zdobyć już dwóch prymusów z ich wiejskiej szkoły i obaj ponieśli porażkę, polegli już na pierwszym egzaminie z matematyki. Argumenty w rodzaju „takie mądre głowy nie zdołały się tam dostać, więc gdzie się pchasz”, „tam wszystko za łapówkę, a nam ledwie starcza na jedzenie” albo „wybierz

coś łatwiejszego, mamy znajomych tu i ówdzie” na niego nie działały. Już wcześniej zdarzały mu się sprzeczki z mamą z powodu różnych drobnych kwestii, a tutaj taka pierwsza, istotna. Zaparł się rękami i nogami, i nie chciał nikogo słuchać. W końcu pozwolono mu tam zdawać, ale tylko po to, żeby nieuniknione niepowodzenie czegoś wreszcie go nauczyło – bodaj słuchania się starszych. Pieniądze na kursy przygotowawcze też mu dano, ale z miną sugerującą, że byłoby lepiej, gdyby je przegrał lub zgubił. Nie spodziewał się, że szlak na tę górę będzie taki trudny od samego początku.

To były poważne kursy, pięciomiesięczne, na tej właśnie uczelni, trzy razy w tygodniu, po dwie godziny wieczorem. Niby to niewiele, jeśli mieszkasz w mieście, ale on mieszkał na wsi. Dwadzieścia kilometrów w jedną stronę to też niby niedużo. Jeśli samochodem albo autobusem. Ale na to, ani na nic innego, nie było widoków. Gnać dla niego tak często samochodu nikt nie będzie, nawet gdyby rodzina miała wolne pieniądze, których nie było, a tym bardziej na taką przegraną awanturę. Autobusy nie jeździły mniej więcej z tego samego powodu, co prawda już w skali całego kraju. Został tylko jeden rodzaj transportu – pociąg podmiejski. Pewnie i tanio. Tyle tylko że do stacji – pięć kilometrów. Też niewiele. Można nawet piechotą, da radę. W tamtym czasie był już dość uparty, może właśnie wtedy rozwijał w sobie tę cechę – stałymi spacerami, po gościńcu, bez względu na pogodę, przeważnie w błocie i w zimnie. Czytał i o likwidacji analfabetyzmu w latach dwudziestych, i o małych dzieciach, które uczyły się nawet podczas wojny, a musiały chodzić znacznie więcej niż on, i o Łomonosowie. Inspirujących przykładów było aż nadto. Pomagały szczególnie, gdy wiał wiatr. Nie on pierwszy szedł rozmokłą drogą do czegoś ważnego. Szedł do pociągu niemal natychmiast po lekcjach, a do domu wracał, jak już było ciemno, kiedy wielu kładło się spać. Latarnie w kraju nie świeciły mniej więcej z tego samego powodu, z jakiego

nie jeździły autobusy. Pociąg jechał wolno, za to było w nim ciepło i można było usiąść. A najważniejsze, można w nim było odrabiać lekcje. On jednak mimo wszystko wolał stać samotnie w ciemnych przedsionkach, jak w piosenkach Wiktora Coja lub filmach, w których występował. Na dworcu w mieście można było umyć buty w zaniedbanej starej fontannie, żeby odróżnić się od miastowych tylko ubraniem, a nie dodatkowo jeszcze brudnymi butami.

Nie opuszczał żadnych zajęć na kursach. Dziwiło go, że z każdym miesiącem bierze w nich udział coraz mniej uczniów. Nie rozumiał, że są ludzie niegotowi, by zrobić wszystko dla swojego marzenia. Nawet zrobić jakies minimum. Pod koniec w ich grupie pozostała nie więcej niż połowa z początkowego składu.

Nastało lato, szkoła się skończyła, i mógł całkowicie skupić się na przygotowaniach do egzaminów wstępnych, do których pozostało trochę więcej niż miesiąc. Przeszedłszy na wzmożony tryb przygotowań, od rana do wieczora czegoś się uczył i rozwiązywał jakieś zadania – matematyka na egzaminach wstępnych na tę ekonomiczną uczelnię była przedmiotem kierunkowym. Lubił matematykę, ale wiedział, że na niej odpadnie połowa kandydatów. Dwóch pozostałych egzaminów, z geografii i literatury, nie obawiał się – bo z nich był mocny. Pomimo tego, że jego pisarski talent chwalono w szkole, wiedział, że tutaj piątek za wypracowania z zasady nie stawiają nikomu. Aby otrzymać najwyższą ocenę z literatury, trzeba byłoby być co najmniej Lwem Tołstojem, napisać *Wojnę i pokój* i zapuścić brodę. Daleko mu było do tego, więc na piątkę nie liczył. By się dostać, wystarczyło zdać te wszystkie przedmioty na czwórkę. Nie planował wtedy, że zostanie pisarzem, miał inne cele – i konsekwentnie dążył do ich realizacji. W tamtym miesiącu nie oglądał telewizji i nie słuchał muzyki, żeby nic go nie rozpraszało. Z tą pierwszą pożegnał się łatwo, z drugą, bez której zdawało mu się, że nie

przeżyje nawet jednego dnia, rozstanie było o wiele bardziej bolesne. Jednak wiedział, że to jest tymczasowe, a potem albo zwycięży, albo nie. Teraz trzeba było się pozbierać i skupić – gdyż stawka była zbyt wysoka. Być może wszystko, co miał w tej chwili, to jego własna szansa. Nie podejrzewał, że stawianie wszystkiego na jednego konia to będzie jego styl, jedyna przyjęta przez niego droga do osiągnięcia sukcesu. I że kulka w tym kasynie nie zawsze zatrzymuje się na obstawionym numerze. Ale wtedy był pewien swojego zwycięstwa. On jeden. Tego, że w przyszłości przyjdzie mu często samotnie iść przeciwko wszystkim, też jeszcze się nie domyślał. Teraz przed oczami stały mu tylko te nieskończone matematyczne przykłady rozwiązań i zadania. Nie widział dookoła nic oprócz tych liczb.

Kiedy nastał czas składania dokumentów na uczelnię, zajął kolejkę przed drzwiami z napisem „Ekonomia”. To była nazwa wydziału, proste i zrozumiałe słowo. Nazwa na sąsiednich też była znajoma: „Zarządzanie”. Znał znaczenie tego słowa, kierowanie przedsiębiorstwem to nieco węższy termin niż po prostu ekonomia, ale za to bardziej prestiżowy – i kolejka była tam dłuższa. Przy wejściu do gabinetu z trzecią specjalnością – z zagadkowym napisem „Marketing” – ludzi było najmniej. Książek, w których mógłby trafić na to zagadkowe słowo, nie czytał, dlatego obszedł tę kolejkę bokiem, wybrawszy coś bardziej zwykłego. Zapewne nie on jeden tak myślał: wkrótce gotowych do związania swojej przyszłości z niezrozumiałym marketingiem zabrakło, i już dwa razy zza tych drzwi wyglądała głowa sekretarki, pytając: „Czy jest ktoś na marketing?”. Głupich nie było. On też był wśród rozumnych. Kiedy sekretarka wychyliła się po raz trzeci i, znowu nie znalazłszy zagubionych śmiałków, zamknęła za sobą drzwi, spojrzął na zegarek. Do najbliższego pociągu pozostała godzina, do następnego pięć. Kolejka do drzwi z prostą ekonomiczną przyszłością nawet nie drgnęła.

Przy zarządzaniu wirował tłum, jakby tam handlowano kontraktami futures. Na najbliższy pociąg, decydując się na ekonomię, nie mógł zdążyć, dopiero na następny. Czy tak wiele znaczą cztery godziny czekania, skoro straciłeś już pół roku i wkrótce zdecyduje się twój los? Jak zrozumieć, że trzeba działać zgodnie z sytuacją, a nie zgodnie z planem? Wstał i otworzył drzwi z napisem „Marketing”. Są rzeczy niedające się wyjaśnić rozumem. Jeszcze nie wiedział, że w biznesie intuicja, wyczucie odgrywają niepoślednią rolę. Ale wtedy coś go – po sześciu miesiącach ruchu po prostej – zmusiło w ostatniej chwili do tego, by skręcił w boczne drzwi. Potem, gdy go pytano, dlaczego poszedł na marketing, niezmiennie odpowiadał: „Żeby nie spóźnić się na pociąg”. I uśmiechał się. Wszyscy myśleli, że to taki żart i się śmiali. Ale to nie był żart: w tamtym czasie już dokładnie wiedział, że to nie rozum o wszystkim decyduje – i to nie tylko w biznesie, ale w ogóle w życiu.

Nadszedł dzień egzaminu. Pierwszego i najważniejszego – z matematyki. Znał statystykę z poprzednich lat. Połowa otrzymywała dwa punkty i schodziła ze szlaku jak tych dwóch ziomków z jego wsi z czerwonymi paskami na świadectwach, które im w tym przypadku nie pomogły. Podobnie jak i tym prymusom z lepszych miejskich szkół, którzy też odnajdywali się wśród przegranych. Ale przecież ktoś zdawał tę matematykę i się dostawał? Chciał się znaleźć wśród tych, którzy potrafili. Nie denerwował się. Nie. To było dziwne. Był bardzo nieśmiały od samego dzieciństwa i dobrze pamiętał ten dzień, kiedy jako dziecko po cichu zmoczył się w spodnie – bo bał się zapytać nieznanomych, gdzie jest toaleta. Ale to było dawno. Teraz już jest zupełnie inaczej. Pracował nad sobą i starał się poprawić w sobie wszystko, co mu się nie podobało, i wypalić w sobie całkowicie to, czego nienawidził. Teraz już się nie wstydził. Zdziwienie budził w nim widok kandydatów na studia, którzy przyszli na

egzamin z rodzicami. Dziewczętom to jeszcze ujdzie, one nawet do toalety pojedynczo nie chodzą, ale widok chłopców, którzy stali za rączkę ze swoimi mamami, wprawiał go w zakłopotanie. Dobrze, że jego mama nie wpadła na pomysł, by odprowadzić go na egzamin (on by zresztą na to nie pozwolił). Jednak nie wszyscy chłopcy byli w towarzystwie rodziców – on podszedł do tych, którzy byli bez nich.

Egzamin był prosty: pięć zadań, po jednym punkcie za każde prawidłowo rozwiązane. Kto dostawał dwa punkty i mniej, nie przechodził do następnego etapu. Kandydaci mający świadectwa z paskiem, jeśli otrzymali z niego piątkę, dostawali się automatycznie. Ci z czwórką mieli szanse na przyjęcie, a szanse tych z trójką były marne. Dostał trójkę. Następnego dnia nie wierzył swoim oczom, patrząc na arkusz z zadaniami, gdzie widniała jak byk, jak wyrok ocena. Wiedział, że rozwiązał tylko cztery zadania. Piąte było za trudne, nawet się za nie nie zabrał, żeby nie marnować czasu – i skupił się tylko na tych, które z pewnością wiedział, jak rozwiązać. Cztery punkty go urzędały. Był pewien, że zrobił wszystko prawidłowo. Sprawdzał. Tam nie powinno być błędu. Ale ocena świadczyła o czymś innym. Pomylił się. Jeden raz. W ostatnim, czwartym zadaniu, rozwiązawszy przykład na pół stroniczki i wstawiając ostatnią liczbę w odpowiedzi, zamiast dodać dwa – odjął. To wszystko. Mechaniczna pomyłka. Troszkę się pospieszył – i odpowiedź się nie zgadzała. Patrzył na malutką poprawkę czerwonym atramentem. Minus poprawiony na plus i tym samym inna ocena. Samego egzaminatora, sprawdzającego te prace, być może także zadziwiła taka głupia pomyłka, ale wątpliwe, by nad nią zapłakał. A jemu w tym momencie się zachciało. Jednak się nie rozbeczał. Chociaż to był koniec. To jak wrócić do domu z dalekiej drogi – i zginąć w wypadku prawie przed samą bramą, nie zdoławszy przekroczyć progu, za którym cała rodzina czeka na ciebie z kolacją. Niczego już nie można



było poprawić, więc ruszył do domu. Pociąg, tak jak on sam, jechał na autopilocie. Tego dnia bardzo dobrze przyjrzał się letniemu kurzowi, który zaścielał drogę. Mama dziarsko go uspokajała, jak uspokaja się śmiertelnie chorego, że ma w zapasie jeszcze następny rok – drugą szansę na uniknięcie wojska lub technikum. Nie mógł czekać przez rok. Był przekonany, że tego roku nie przeżyje. Przegrał. I chociaż wszyscy mówili, że nie ma sensu zdawać reszty egzaminów, a mając czas, lepiej spróbować dostać się na jakąś inną uczelnię, mniej obleganą, przygotowywał się dalej. Tak z zimną krwią, bez zachwyty i okrzyków „hurra” idzie się nadal do ataku, kiedy karabiny maszynowe wroga już wykosiły połowę twojej kompanii. Wiesz, że możesz paść w każdej chwili, ale za późno już na odwrót. Musisz biec do końca.

Za tydzień była geografia. Nie spodziewał się piątki – i jej nie dostał. „Cztery”. Jeszcze za tydzień – literatura i wypracowanie. Wiedział, że dostanie swoją czwórkę, jeśli nie zrobi błędu. Otrzymać piątkę było rzeczą niemożliwą i tego był pewien – jeśli oczywiście nie jesteś pisarzem, najlepiej z brodą, choćby jak u Hemingwaya. Nie miał brody. I nie był pisarzem. Ale otrzymał swoją czwórkę. Łącznie – jedenaście punktów. Poznawszy trzecią, ostatnią ocenę, jak gracz w pokera, postanowił odkryć karty – otworzył jeszcze raz drzwi z tabliczką „Marketing”. Za biurkiem w dziekanaście siedział gość z zakolami i listą ocen abiturientów. Gość zapytał go o nazwisko i zaczął sprawdzać listę przyjętych. Kandydat był na pozór opanowany, ale jednak mu zależało. Po prostu coś przeczuwał, ale nie miał pewności, tak jak żołnierz, który wskoczył do okopu wroga i zobaczył, że jest pusty, i że to może być już koniec. Gość kiwnął głową, potwierdziwszy, że maturzysta ma jedenaście punktów i że w tym roku jest to próg przyjęć. Nie uwierzył i poprosił, że chce przekonać się o tym na własne oczy. Gość uśmiechnął się, widząc taki upór i nieufność. I wyjaśnił, że u nich na

wydziale na jedno miejsce konkurowały cztery i pół osoby, ale matematyka zrobiła swoją brudną robotę, i – tak jak w poprzednim roku – połowa odpadła z dwoma punktami. A dla tych, co przeszli wszystkie trzy etapy, wystarczająca liczba punktów to 11, czyli tyle, ile on uzyskał. Jednak to tylko na marketing, a na ekonomię i zarządzanie – 12. Oficjalna lista będzie w następnym tygodniu, ale kandydatowi już dzisiaj można pogratulować przyjęcia na ich uczelnię. I wyciągnął rękę. Kandydat ją uścisnął – i wyszedł z gabinetu już jako student. Szczęśliwy student.

Nie zapomni tego dnia. Dzień był słoneczny i ciepły jak nigdy. Pociąg jechał zbyt wolno, jednak polna droga minęła bardzo szybko. Mama czekała, przygotowując kolację w letniej kuchni. Wybiegła, usłyszawszy hałas, kiedy wyrzucił na dach torbę z zeszytami i powiedział, że się dostał.

Jednak ona nie wierzyła. Tak jak wszyscy inni – chciała zobaczyć jego nazwisko na liście. Nie możesz nazywać się mistrzem, zanim nie dostaniesz medalu. Jednak on był pewny, że to zwycięstwo, i to nie ostatnie. Jeszcze nie dane mu było poczuć, co to prawdziwa porażka. To poczuje potem. A tego dnia wszystko było przed nim i nic złego na horyzoncie się nie rysowało. Gdyby umiał pić, tak jak potem nauczył się na uczelni, to by się napił. Ale tymczasem było mu dobrze i bez tego. Głośnik został ustawiony wprost w oknie i do domu wróciła muzyka. Nową kasetę kupił dzisiaj w mieście. To nie były zwycięskie fanfary, ale muzyka zwycięstwa może brzmieć różnie.

Nie czekał na wywieszenie listy przyjętych, bo nie miał wątpliwości, że na niej już jest. Po kilku dniach pojechał do Moskwy sprzedawać piwonie, musiał zarabiać pieniądze. Od dawna dobrze znał już ich wartość i wiedział, że lekko nie przychodzą. Z wąskiej polnej drogi wyszedł na szeroką asfaltową aleję i spodziewał się, że niedługo będzie mógł zapomnieć o brudnych miskach, pudłach i skrzynkach. Mama

pojechała, żeby na własne oczy zobaczyć oficjalne wyniki egzaminów. A dokładnie to nie sama – zabrała jako kierowcę zięcia i nawet samochód zatankowali przy tej okazji. I nie dlatego, że mama lubiła zadawać szyku. Ale okazja była naprawdę uroczysta. Przyjechali oboje i weszli na podwórze uczelni. Na tablicy wisiały listy przyjętych. Kilka arkuszy z nazwiskami szczęśliwców. Jego nazwisko było gdzieś pod koniec listy. Mama źle widziała, dlatego pochyliła głowę, a zięć, który też był ciekawy, patrzył z góry. „Jest!” i czyjaś potylicy zetknęła się z czyjąś szczęką, wydawszy przy tym charakterystyczny stuk, który mimo wszystko nie mógł zepsuć radości. Dostał się! Co prawda imię ojca było nie takie jak trzeba, ale tu mogli coś poplątać, najważniejsze, że dość rzadkie nazwisko i imię się zgadzało. Teraz było czym się chwalić.

Winowajca wrócił po tygodniu. I, przyjąwszy spóźnione, ale mimo wszystko miłe dla wszystkich gratulacje, pomknął obchodzić swe urodziny nad morze. Zasłużył. Dobrze przyswoił sobie formułę: wyraźny cel, prosta droga, nie zatrzymywać się i nie poddawać. Jeszcze wiele rzeczy będzie musiał sobie przyswoić. Wcale nie wszystkie – na wykładach. Ale dzisiaj kończy siedemnaście lat.